



Bronisława Ostrowska

CÓRKA WODNICY

baśń

Armoryka

Bronisława Ostrowska
CÓRKA WODNICY
baśń

Bronisława Ostrowska

CÓRKA WODNICY

baśń

Armoryka
SANDOMIERZ 2009

Redaktor: Władysław Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Ilustracja na okładce: Claude Monet (1840-1926), Impression, soleil levant, 1872, (*Musee Marmottan, Paris*), (licencja *public domain*),
źródło: http://en.wikipedia.org/wiki/File:Claude_Monet,_Impression,_soleil_levant,_1872.jpg

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-011-6

I. KLĄTWA OTOCZY.

W dawnych, bardzo dawnych czasach na szerokim morzu była wyspa.

Wyspa nazywała się Otoczą, iż otaczało ją zewsząd morze, niby ślubny pierścień.

Morze było wszystkim dla wyspy. Nigdy bowiem jej łódź rybacza w najdalszych wędrówkach nie dopłynęła do cudzego wybrzeża, ani też żaden statek z obcej ziemi nie przybił do jej cichych przystani. Nie podejrzewali mieszkańcy istnienia innego lądu; nie znali innego widnokładu prócz zielonoblękitnej oddali morskiej, stykającej się prawie niedostrzeżenie z pogodną kopułą nieba. Życzliwe fale w codziennym odpływie wynosiły na brzegi żyzną sól, wyrzucały muszle bezcenne, perły, korale, a kiedy o zachodzie słońca, z pluskiem wiosel powracały łodzie rybacze do brzegów, to niewody i sieci pełne były wszelakich skarbów morza.

A na wyspie jak szeroka i długa rozlegały się tedy śmiechy, śpiewy i błogosławieństwa.

Ziemi miała Otocza mało.

Wąski tylko pas niskiego wybrzeża rozkwitał zielenią winnic i ogrodów, oraz pastwiskami, kędy się pasły stada śnieżnorunych, długorogich kóz.

Wyżej wyspa szła amfiteatrem, podnoszącym się stopniowo wschodami koralowych skał, aż do spiętrzonego na szczycie królewskiego grodu.

Na stopniach tu i owdzie przy domostwach mieszkańców zieleniły się sady, a wokół królewskiego zamku roztaczał się rozległy ogród pełen przedziwnych roślin, ale największą część wyspy zajmowały owe różowe skały, w których wykute były też mury grodowe, zamek i świątynie.

Nie w ziemi czerpała Otocza bogactwa swoje, ale w morzu, i nie dziw, że wszystko zawdzięczając morzu, jemu też oddawała chwałę i cześć boską.

Nie zasiadł na tronie Otoczy król, który by przedtem w odbicie pełni miesięcznej na pełnym morzu pierścienia ślubnego nie cisnął.

A to na znak wierności żywiołowi wody i księżycowi, co jest jedynym ponad wodę mocarzem, sam tylko drogi morzu znacząc, przyplwyw jego i odpływy miarkując.

Dopełniał się ten prastary obyczaj na Otoczy przez długie, długie wieki i wyspa rozkwitała szczęściem jako ulubienica morza.

Aż stało się, iż królowi rządzącemu Otoczą narodziło się dziecię przedziwnej piękności.

Dziecię rozwijało się szybko, ku radości matki i dumie ojca, a piękność zdała się w nim rosnać z dniem każdym.

Było tak piękne, że człowiek żaden nie zdołał niczego odmówić jego prośbie, a zwierzęta szły za nim, jak oczarowane, i lizały mu stopy z zachwytem.

Wszyscy ubóstwiali królewicza i zdumiewali się tak jego urodą, że po cichu pomawiano nawet matkę o czary.

A dziecię szczęśliwie dorastało w pachole, aż przyszedł dzień chłopiących jego postrzyżyn.

Z przebiegu tego obrzędu wrócono na Otoczy o przyszłości dziecka, przeto lud cały zebrał się dnia tego na wybrzeżu, gdzie arcykapłan miał postrzyżyn dopełnić.

Kiedy wyprowadzono królewicza z zamku, w białej tylko krótkiej szatce z wełny kóz, bosego i z odkrytą głową, to cały lud wydał okrzyk zachwytu, bo myślał, że małe bożę zstąpiło z ołtarza świątyni.

Za królewiczem postępowali rodzice oraz arcykapłan w pozłocistej szacie, i cały orszak uroczystym krokiem zeszedł ku morskemu brzegowi.

Dzień był słoneczny i morze leżało spokojne, gdy postawiono królewicza tuż nad brzegiem na złomie różowej skały.

A gdy tak stał wysoko nad ludem, ze skrzyżowanymi na piersiach rączkami, to słońce zdało się zazdrościć złota jego włosom, a morze szafiru jego oczom.

Arcykapłan przystąpił dla dopełnienia obrzędu i złotymi nożycami obciął jego bujne, nietknięte dotąd ostrzem kędziory; po czym uroczystym ruchem rzucił je na morze.

Zabłysły w słońcu jak drogocenny klejnot, lecz nie poleciały z wiatrem ponad wodę, tylko wnet zapadły w spokojną głębinę, jakby pociągnął je niewidzialny ciężar.

A cały lud podniósł wielki okrzyk radości, bowiem poczytano to za szczęśliwą wróżbę.

Od tego dnia postrzyżyn upłynęło lat kilka, a królewicz z pacholęcia wyrósł już w młodzieńca.

I stary król zapragnął jeszcze przed śmiercią obaczyć syna swego na tronie. Aby ucieszyć serce ładem jego rządów, i złożyć wcześniej z ramion ciężar królewskiego berła.

Ogłosił tedy wolę swą wobec syna i ludu, — i oto nadszedł w życiu królewicza wielki dzień drugiego obrzędu, — dzień zaślubin królewskich z morzem.

Była noc pełni miesięcznej, i czerwony okrąg księżycy powstawał z daleka nad morzem, które marszczyło się zaledwie lekką, fosforycznie iskrzącą łuską.

U brzegu barka, kształt złotego gryfa mająca, zdawała rwać się niecierpliwie do lotu.

Królewicz rodzicom najpierw się do nóg pokłonił, potem ludowi rzucił pozdrowienie, i, przyjąwszy sygnet z rąk arcykapłańskich, dumnym ruchem do złotej łodzi wskoczył.

Jak chybka mewa ruszyła od brzegu barka, żegnana błogosławieństwem rzesz, i szybowała pewnym lotem po głębi.

A tam, gdzie dziobem krajała głębinę, tam pryskała w górę fala fosforycznymi iskrami, zasię za łodzią ciągnęła się długa bruzda, niby smuga żywego ognia.

Księżyc bladł, podnosząc się coraz wyżej nad morzem; kiedy odbije się tuż przed złotym gryfem, zdobiącym dziób łodzi, tedy królewicz pierścień swój w głąb ciśnie na znak wierności wiecznej żywiółowi wody.

Nagle — czyli oczy mylą oczekujące na wybrzeżu tłumy? — Tuż przed łodzią ze spokojnej głębi powstaje nagle wielka, pierzasta, świecąca w sobie srebrem fala i wyciąga do królewicza dwie białe strugi pian, niby wabiące, śnieżyste ramiona.

Płynie od niej szum srebrny, przedziwna muzyka, jakby się nagle morze anielskimi harfami rozegrało.

Królewicz stoi zapatrzony i zasłuchany. Widzi go chwilę lud na tle wysokiej fali, jak posąg młodego boga w srebrnej wnęce świątyni.

Okrzyk grozy wydziera się ze wszystkich piersi.

Fala opada, wygarniając w siebie łódź, a w zamęcie srebrnej, śpiewającej piany lud Otoczy nic już dojrzeć ni dosłyszeć nie może.

Ale zaledwie znikła łódź królewicza pod falą, zakotłowało się morze i zmaćliło ode dna, a olbrzymie wały wodne, fosforycznym płomieniem gorejące na grzbietach, jak zastęp potwornych smoków, runęły na wybrzeże Otoczy.

Zdawało się, że za jednym skokiem pochłoną całą wyspę. Lud, który nigdy dotąd wściekłości morza nie zaznał, porwał się do ucieczki, oszalały przestraczem.

Skamienieli rozpaczą rodzice królewicza sami tylko zostali na wybrzeżu; przełożyli bowiem raczej śmierć we wściekłych bałwanach nad osierocone i samotne życie.

Ale morze nie wzięło ich żywota.

Spiętrzone wały wodne, jak człowiek, co rozumem opanował wybuch ślepego gniewu, stanęły tylko chwilę niby ściana ognia wokół wyspy, a potem zwolniły pędu i upadły na wybrzeże zaledwie o piędziesiąt dalej, niżli w czasie codziennego przypływu.

Ale za to nie cofnęły się już wcale, i kiedy nowa fala przyszła zastąpić pierwszą, to posunęła się znów naprzód nieznanym prawie ale niecofniętym zalewem, tak, że o świcie woda doszła już do stóp owej skały, na której niegdyś stał podczas postrzyżyn królewicz, a teraz zrozpaczeni rodzice patrzyli w szalejące otchłanie.

Nie może pojąć lud tajemnicy, co nagle zaciężyła nad wyspą; nie może pojąć naglej niesprawiedliwości morza.

Teraz oto powrócił na brzeg, ochłonawszy z pierwszego przerażenia, i, skupiając się w małe gromadki, rozprawia.

Więc nie dość, że morze zabrało największe ukochanie ludowi, jeszcze za to mści się samo na wyspie?

Czyż skazało na nieubłaganą zatrutą obsypywaną niegdyś łaskami ulubienicę? I za co? Jakąż zbrodnię popełniła? jakim świętokradztwem obraziła morze? Wszak składała wierne daniny, czciła każdy przypływ w pełni księżycowej i nie odmówiła nigdy żywiołowi wody żadnego z powinnych hołdów.

Coraz głośniejsze rozlegają się pytania i narzekania. Szukają winowajców.

Jedni dopatrują win w drugich, inni sami siebie oskarżają.

Aż oto głos zabrał jeden z zauszników królewskich i lud zdradliwie podburza:

— To wszystko czary królowej! Nie pożałowała nawet rodzzonego syna, ażeby wyspę zgubić. Widzicie — uśmiecha się teraz, patrząc w morze.

Istotnie na twarzy królowej wyblyskał nieprzytomny uśmiech, a wzrok stawał się pogodny i dziecinny.

Ludem przebiegł szmer niedowierzania i grozy:

— Czary...

Ale królowa zstąpiła ku nim ze skały i rzekła nagle:

— Nam się wydało, że królewicza zatopiła fala. Jego łódź zabłąkała się tylko i teraz trafić nie może do wyspy. Trzeba na najwyższym tarasie ogień rozpalić, aby z daleka widną się stała Otocza. Kiedy zobaczy ogień — powróci.

I zrozumieli wszyscy, że królowa zmysły straciła z bóleści, i żal wielki ogarnął ich serca.

Rozeszli się pośepnie do domów, a królowa, ogień swój rozpaliwszy, dnie i noce pędzić przy nim poczęła, wróżby przeróżne głosząc i ognia, niby kapłanka strzegąc.

Stary król sam tylko został na wybrzeżu.

I odtąd rzadko widywano go inaczej, jak zapatrzonego w morze; jakby chciał nierozwiązaną tajemnicę wydrzeć wzburzonym oddechem.

Od tego dnia nie cofnęło się odpływem morze w krąg Otoczy.

Szło powolnym, ale niecofnionym zalewem, zabierając piędź po piędzi, zagon po zagonie, ale nie oddając już ani żdźbła z tego, co raz pokryło wzburzoną topielą.

A że zabierane tak, niskie wybrzeże Otoczy było jedyną żyzną na wyspie ziemią, więc choćby nawet morze nie posunęło się już dalej i oparło o pierwsze tylko stopnie skaliste, to i tak wyspa ginąć by musiała powoli; nie starczyłoby jej bowiem rzadkich na wyżynie pól ani paszy dla kóz, ani wina, ani owoców sadu.

Ale i tej zemsty nie dość było morzu.

Od owej nocy nie uspokoiło się ani na chwilę, i żaden statek nie zdołał wypłynąć na rozbujane bałwany. Łupiny łodzi rybaczych, co ośmieliły się wyruszyć z przystani, pochłonęła kolejno głębina. Kruszyła je o skały z głośnym, radosnym rykiem i pokrywała szumiącą topielą.

Pod słonecznym niebem, co nie zamąciło nad wyspą dawnej swej pogody, tem bardziej grozą przejmując mieszkańców ta burza, powstająca ode dna.

A tak zaciekla w każdej najmniejszej fali, że nawet u brzegu nie zdołał rybak niewodu nawiązać. Rwało morze wszystkie niewody i sieci, skąpiło ryb, nie wyrzucało na brzegi skarbów żadnych.

Niekiedy tylko wieszalo na skałach długie papirusy alg, zapisane żalobnie czarnymi znakami. Jakby przysyłało wyspie wypisany wyrok morza, którego jednak odczytać nie potrafiły oczy ludzkie.

Wyspa malała. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę czuli mieszkańcy zacieśniający się wokół Otoczy pierścień spienionych bałwanów.

Próżno lud kłękał u brzegów, miesiącowi złotemu się modłać; próżno obiady rzucał we wzburzone odmęty.

Jeden z panów Otoczy, za pozwoleniem królewskim, wieże żelazne wokół wyspy stawiać kazał i mur obronny kręgiem wznosić przed zaborem morza.

Ale gdy mur stanął już do połowy, wielka fala runęła nań i, zwaliwszy całą pracę ludzi, zabrała wodza i pracowników. Zaś zwłoki ich odrzuciła na brzegi Otoczy na znak, że nie przejednała się tym lupem.

Lud cały rozmyślał, jakby przebłagać morze.

Na tarasie prastarej świątyni Otoczy zasiadali co dnia kapłani, otoczeni rzeszą, i, modląc się, błagali o natchnienie, co czynić. Aż raz, gdy siedzieli tak na rozmyślaniu, stanęło pośród nich kilkoletnie dziecię. Poznali je wszyscy: był to mały pieśniarek sierota, którego ojciec zginął przy zalewie muru, a matka z rozpaczyci rzuciła się w morze.

Miał kędziory czarne jak noc i takież oczy wielkie, jakby wciążył za czymś tęskniące.

Smukły, jak drzewina leśna, w przepasanej złotą krajką szatce, niósł w ręku małą koralową luteńkę, sztucznie wyro-

bioną z widlastej gałęzi koralu, na której napięte złote struny brzęczały za każdym jego ruchem.

Staął śmiało w gronie starców i dostojników, i wdzięcznym głosem przemówił:

— Oddajcie morzu mnie i moją luteńkę.

Posypały się pytania i wykrzykniki:

— Kto cię przysła, dziecko? kto ci tak kazał mówić?

A mały strząsnął w tył czarne kędziory i odpowiedział:

— Sam przyszedłem.

— Czy rozumiesz co mówisz? Dlaczego chcesz, by cię oddano morzu?

— Żeby przeprosić morze.

Arcykapłan zbliżył się do dziecka.

— Skąd wiesz, że tak można przeprosić morze?

Mały począł tłumaczyć:

— Bo jak pytałem dawniej mamy, dlaczego ludzie płaczą, to mama powiedziała, że to morze na nich się gniewa. Więc pytałem mamy, jakby można przeprosić morze. A mama powiedziała, że trzeba by mu dać coś najdroższego. Potem, jak morze wzięło tatusia, to mama sama w morze skoczyła. Więc myślałem, że morze już się przestanie gniewać. Ale ludzie ciągle jeszcze płaczą. Więc chcę, żebyście teraz oddali morzu mnie i moją luteńkę.

— Ale dlaczego ciebie i luteńkę — pytał z rozrzewnieniem arcykapłan, głaszcząc kędziory dziecka.

A ono podniosło ku niemu swe wielkie, słodkie oczy, jakby zdziwione, że je o tak proste rzeczy pytają, i odpowiedziało spokojnie.

— Bo mamusia mnie zawsze mówiła, że jestem jej najdroższy, a ja nie mam nic droższego od tej luteńki.

Po rzeszach przeleciało wielkie westchnienie, nie wiadomo czy zgody, czy tylko wzruszenia, a arcykapłan podniósł ręce w górę i rzekł uroczyście:

— Nie może zginąć ziemia, co takie serca rodzi. Ufajmy bracia!

Ale w tłumie poczęły się wnet rozprawy i spory. Jedni uważali, iż los przez usta tego dziecka przemówił, i że należy spełnić jego żądanie. Inni, rozczuleni pięknnością i sercem małego, pragnęli życie jego dla przyszłości ocalić, aby wyrosło kiedyś ku ratunkowi Otoczy.

Niezgoda nie ustawała, aż arcykapłan zabrał głos znowu i rzekł:

— Zaprowadźmy dziecię do króla. Niech on sam osądzi, co czynić. I zaprowadzono dziecię przed oblicze królewskie.

Ale król, gdy usłyszał rzecz całą, przygarnął do piersi pacholątko, które mu ukochanego syna przypomniało, i zostawił je przy boku swoim, jako nadwornego pieśniarza.

— Zastąp mi syna, — rzekł dziecku, — i staraj się pieśnią pocieszać nas tymczasem, póki wyrósłszy ocalenia nie znajdziesz całej wyspie. A nie przestawaj ufać, że je znajdziesz, bowiem takie serce jak twoje zwycięża wszystkie przeszkody.

I mały został na dworze, nie odstępując ani na krok starego króla, który umiłował go jak dziecko własne i rozchmurzał zasępione oblicze, tylko słuchając jego wdzięcznych pieśni.

A że pociecha owa przybyła mu niespodzianie, jakoby od Boga zesłana, przeto przewał dziecię — Bożydarem.

II. DZIECKO MORZA.

Co dnia niezmiennie od dziesięciu lat zstępował stary król sam, z ulubionym tylko pacholęciem, po marmurowych stopniach zamkowego tarasu nad brzeg morza. Szedł pośród fantastycznych, koralowych kolumnad, aż ku górującej nad wybrzeżem skale, mającej kształt wyniosły królewskiego siedziska. Tu, daleki od oczu ludzkich, mając przed sobą bezmierną pustkę morza, siadał samotnie na skalnym siedzisku, — i patrzył. Pacholę opodał brząkało w złote struny, a on zdjawszy z głowy koronny kołpak królewski, poddawał siwe włosy wiatrom lejącym od morza.

I na tle szafirowych, spienionych fal, z swą siwą głową i w szafirowym płaszczu, zdawał się być sam uwieńczoną srebrem, zapomnianą przez morze falą, rzuconą na skaliste wybrzeże.

W samą nieprzebołąłą, dziesiątą już rocznicę straty syna siedział jak zwykle stary król na swym nadbrzeżnym siedzisku.

Wspomnienia naszły dziś na niego chmurą tak ciężką, że nie zdołał rozpędzić ich nawet śpiew ulubionego pieśniarka.

Głowa królewska zwisała nisko na piersi, a oczy wyzarte łzami przymknęły się niby do snu.

Nagle wydało się staremu królowi, że do dzikiego chóru szumiących bałwanów przymieszał się głos inny, a tak nieprawdopodobny w tym miejscu i chwili, że stary król nie otworzył nawet oczu, myśląc, że jeszcze śni.

Zdawało mu się bowiem, jak gdyby w fali idącej od morza – ktoś śmiał się.

Cicho, srebrzyście, ale tak wyraźnie, że słychać było ten śmiech mimo całego szumu wzburzonych bałwanów.

Stary król westchnął tylko do swej złudy i snuł dalej ciemną nić żalobnych wspomnień. Odkąd że to nie rozlegały się już śmiechy na Otoczy?

Ale śmiech zabrzmiał znowu, a tym razem tak już blisko, tuż prawie pod jego stopami, że zdumiony król podniósł oczy i spojrział.

Ale właśnie wielka, prześwietlona słońcem fala padała w dole tuż u stopni tronowych, i stary król nie zobaczył nic, prócz śnieżnego zamętu piany, syczącej w żwirze.

Teraz już nie spuścił oczu z fali, a kiedy najbliższa osunęła się ku głębi, zostawiając miejsce następnej, tedy oczy jego ujrzwały rzecz, przechodzącą wszelkie zrozumienie ludzkie.

Na skale, pod olbrzymim namiotem nadbiegających co chwila wałów wodnych, siedziało dziecko.

Wyciągało ręce do pokrywających je pian i śmiało się. Śmiało się tym właśnie dziwnym, przejmującym śmiechem, podobnym do dźwięku kropel wody, upadającej na kamienie.

Król nie dojrzał jeszcze dziecka dokładnie, bo przesłoniła mu je znowu fala. Zerwał się tylko i, zszedłszy na najniższy stopień tronowy, czekał.

A kiedy fala odeszła, zobaczył wyraźnie dziewczynkę, lat może dziewięciu, odzianą tylko w długie wstęgi purpurowych alg, kołysząc się za każdym jej ruchem na toni.

Rzucił się ku niej gwałtownie, by ratować od wrogiego żywiołu, i uchwyciwszy, zdołał przenieść na swe siedzisko

dziecko, które poddało mu się bez oporu, nie przestając wciąż śmiać się cicho i srebrzyście.

Posadził dziewczynkę na skalistym tronie, a sam, przykląkwszy przed nią, począł badać ją i oglądać.

Miała srebrne, jak piana morska, a puszyste jak wodne porosty, włosy, powiewające wciąż dokoła głowy. Twarz liliowej białości, o rozchylnych śmiechem ustach, purpurowych, jak gałązka koralu, i ukazujących drobne perłowe zęby. Rysy twarzy regularne i bardzo piękne, ciało nad miarę zgrabne i wysmukłe, ale co uderzało najbardziej w tej dziwnej postaci, — to jej oczy.

Oczy ogromne, zielonawe, jednolicie świetliste, bez białka i źrenicy. Oczy patrzące za daleko, albo może w głąb własną, z oprawy bardzo bujnych, a srebrnych jako i włosy rzęs.

A kiedy nachylił się ku dziewczynce, patrzącej w niego tymi swymi wielkimi oczami, stary król zobaczył z dziwnym niepokojem, że oto odbija się w tych oczach, jak w głębokiej, spokojnej wodzie.

I zaczął pytać przejęty, wraz uczuciem lęku i nadziei:

— Skąd się tu wzięłaś, dziecko? Kto jesteś?

Ale dziewczynka nie odpowiadała wcale, niekiedy tylko wybuchając swym radosnym śmiechem.

— Jak się nazywasz? Czy nie umiesz mówić? Nowa kaskada śmiechu była jedyną odpowiedzią.

Począł więc stary król oglądać baczniej dziewczynkę, czy na niej nie znajdzie znaku jakiego czy wyjaśnień.

Ale we włosach nie było nic, prócz nanizanych owdzie pereł, a wzdłuż ciała zwieszały się na kształt pociętej szatki tylko długie purpurowe algi. Zapisane były one wprawdzie całe czarnym pismem głębin, ale tego pisma nie umiały odczytać oczy najmędrszego człowieka.

Dopiero kiedy odchylił król algi, wiszące na piersiach dziewczynki, zobaczył ciężki łańcuch perłowy z wiszącym na nim sygnetem.

Poznał go stary król! Poznał, choć zamiast na palec królewicza nanizany był teraz na ogromny, przedziwnej wody kamień, jasny jak brylant, ale siejący wkoło niewidziane dotąd, zielone blaski.

To sygnet, który w noc niedoszłych zaślubin swych z morzem unosił królewicz na pochłoniętej falą barce. To sygnet królewicza!

Drżącymi rękoma ujął go stary król, ale kiedy spróbował zdjąć z szyi wodnicy, zobaczył, że uczynić tego niepodobna, bowiem sygnet zrośnięty był z zielonym kamieniem, zaś łańcuch utworzony z pereł wzajem z sobą spojonych i zbyt ciasny, by przesunąć się dał przez głowę dziecka.

Zresztą, kiedy zdjąć go tylko spróbował, dziewczynka umilkła i poczęła odpychać go rączkami, przy czym zrobiła ruch nagły, zrywający się do ucieczki, jakby chciała powrócić w morze.

Pozostawił jej przeto król przyniesiony talizman i tylko zapragnął jak najprędzej zaprowadzić małą do zamku, aby rychło wybaść wyrocznie, kim był ów gość dziwny i co zwiastowało Otczyzno przybycie.

Ale i temu zamiarowi dziewczynka oparła się stanowczo.

Zamilkła, jak za każdym razem, gdy nie chciała się na coś zgodzić, a potem poczęła błyskawicznymi ruchami wyslizgiwać się z rąk królewskich.

Ale tu podbiegł ku niej Bożydar, który od chwili zjawienia się wodnicy stał zapatrzony, z umilkłą luteńką, niby skamieniały zachwytem. Teraz objął za szyję małą i z nagłym, serdecznym wylaniem zawołał:

— Taka jesteś piękna! nie uciekaj! Będę ciebie tak kochał — zostań z nami! Aż od gwałtownego ruchu zabrzękły wszystkie struny w złotej luteńce czystym, przeciągłym brzękiem.

A wodniczka uspokoiła się od razu i znowu wybuchnęła śmiechem.

Potem ujęła ostrożnie w ręce brzęczącą jeszcze lutnię i położyła palce na strunach.